

Antoni Marian Kurpiel

Nieznane utwory J. U. Niemcewicza

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 7/1/4, 625-639

1908

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



MATERYAŁY.

Nieznane utwory J. U. Niemcewicza.

Głupstwo i próżność. Powieść.

Próżność, doszedłszy już wieku połowy,
Widząc, że ni rozum zdrowy,
Ani rozsądek, ni cnoty,
Ni szacunek, ni przymioty,
Nie cisnęły się do jej pięknej ręki,
Że panieństwa przykiej męki
Znieść dłużej w stanie nie była,
Na Głupstwo oczy rzuciła.
Głupstwo, co było tak dumnem,
Tak się sądziło pięknem i rozumnem,
Tak przykładnem i moralnem,
Wzgląd ten znalazło wcale naturalnem.
Niedługie były konkury:
Wzajemna skłonność, podobne natury:
I ksiądz gotowy — u świętych ołtarzy
Dobraną parę kojarzy.
Odtąd to stadło przez zbyt długie lata
Dzikiemi swemi czyny i zawody
Było dla całego świata
Źródłem zabawy, częściej wielkiej szkody,
Bo, co się tylko próżności ubrzdało,
Zaraz głupstwo wykonało.
Nie było rzeczy wielkiej, niebotycznej
Czyli w obozach, czy w Radzie publicznej,
Czyli w naukach, czy w wyniosłych pieniach,
Żeby ta para w swych zarozumieniach
Łatwe dla siebie widząc wykonanie,
Wraz nie porwała się na nie.

Śmiano się nieraz jak głupstwo z próżnością,
 Co się niczego nie boi,
 Z wielką powagą i uroczystością
 Plotły androny, na czem świat ten stoi.
 Czy prawa pisać, mówić lub wojować,
 We wszystkim chciały celować.
 Często, patrząc na słuchacze liczne,
 Plotły bezsensa liryczne,
 Znow chcą Ciemnoty pozyskać oklaski,
 Jakby nowe wynalazki,
 Jakby prawdę ważną, świętą,
 Wnosiły jakąś dzikość niepojętą.
 Lecz gdy tak długo i brydzą i durzą,
 Gdy wszystko psują i burzą,
 Kiedy świat cierpi i głośno narzeka,
 Rozsądek, co na czyny ich patrzył zdaleka,
 Rozsądek, jego bowiem dzielność i powaga
 W końcu nad wszystkim przemaga,
 Przerwał to szkodne przymierze
 Głupstwo i próżność silnie za łeb bierze
 I, by raz skończyć wieczne niepokoje,
 Do czubków zamknął oboje.
 Lecz nie tu koniec, jakimści przypadkiem
 Oknem czy dachem, lecz zawsze ukradkiem,
 Śliczna ta para od czubków uciekła
 I jak wprzód tak dziś wściekła,
 Gdy jej nic nie uspokoi,
 Znowu po świecie złe broi.

Londyn, 29 grudnia 1832.

Odpowiedź matki polki, której proszono, aby śpiewała.

Chcesz, bym śpiewała; mogęż nieszczęśliwa
 Nucić, gdy Polska w niewoli,
 Gdy kir śmiertelny wokoło ją okrywa,
 Gdy niema końca niedoli?

Chcesz, bym śpiewała; otrzyj łzy me wprzód,
 Powróć mi męża i brata.
 Wyschły od płaczu zwiędłe me jagody,
 Niemiłą mi jasność świata.

Polegli oba wśród krwawego boju,
 A jam sama pozostała,
 Bym wpośród płaczu i ciężkiego znoju
 Na zgubę Polski patrzyła.

Małego syna w ręku piastowałam,
Pociechę przyszłej siwizny,
Patrząc nań z chlubą, ileżkroć mawiałam:
Rośnie mściciel mej ojczyzny.

I ta pociecha wkrótce mi wydarta,
Próżno wołam rozżalona,
Przychodzi zgraja najedźców zażarta
I z mego porywa go łona.

Gdzież jest? Ach, w jakież zawiedli go strony,
Może gdzie na Wołgi brzegu,
Na dzikich stepach z odzieży zwleczoney,
Skostniały leży na śniegu.

A jeśli żyje, już tam mściwe wrogi
Nie przestają z niego szydzić,
Uczą go jak cześć fałszywe ich Bogi
I Polaków nienawidzić.

Morza i łądy i więzienia ciemne
Do ostatnich ziemi krańców
I skrzepłe stepy, kopalnie podziemne
Pełne są naszych wygnańców.

Dom królów moich z ozdób obnażony.
Wizerunki dawnej chwały
I święty senat, berła i korony
Zburzył najeźdźca zuchwały.

Patrz na te gmachy, gdzie mieszkały Muzy,
Gdzie młodzież światło czerpała
Stoją pustkami, same tylko gruzy
Skarby ich przemoc zabrała.

Niedość, że tyran zabrał nasze mienia,
Śmiał istność naszą wywrócić,
Chce, gasząc światło, przyszłe pokolenia
W zwierzęcą trzodę obrócić.

Gdzie spojrzę, wszędy ślady mściwej ręki.
Pamięć Polski nie została,
Cóż słyszę: gorzkie i płacze i jęki,
A ty chcesz, żebym śpiewała.

Nie pozostaje w ciężkiej mej niedoli,
W smutnej życia mego przedzy
Jak łyż i jarzmo haniebnej niewoli
I grób, koniec wszelkiej nędzy.

31 grudnia 1832.

Narzekańie matki po porwaniu syna jej.

Nie proszę Boga, by mi męską stałość
 Dać raczył, ani odjął ciężką żalność,
 Niech jej nie bierze, żal ten przypomina
 Obraz przez zdrajców wziętego mi syna.
 Któż mię przeniesie w głąb dzikiej przestrzeni,
 Gdzie kwiat nie błysnie. liść się nie zieleni,
 Gdzie wszystko, wszystko przeklęte;
 Gdzie słońca niema, gdzie wichry zawzięte
 Świszczą wśród ciemnot, kędy tysiąc dzieci
 W Uralskich stepach wśród śnieżnej zamieci,
 Widząc już blizki dni swoich ostatek,
 Konając jeszcze wzywa lubych matek.
 Niech jędze, sprawce mego udręczenia,
 Niosą mię wśród ich płaczów i kwilenia
 I tam, wołając o pomstę do pana,
 Przeklęstwiy mieni okryję tyrana.

14. stycznia 1833.

Z Popego.

Cóż, że pańska krew twoja od potopu słynie
 Kiedy zawsze po żyłach samych durniów płynie.

Epigraf do nowo wydającej się Historji polskiej z rycinami.

Ujrysz w tych dziejach, droga nam młodzieży,
 Ojczyzny naszej niedolę płacziwą.
 Wiedz, że im bardziej Matka nieszczęśliwą,
 Tem więcej dzieciom kochać ją należy.

Wiatr i komar.

Komar maleńki, ubogi,
 Gdy nim miotał wicher srogi
 Prosto, bokiem, w wszystkie strony,
 Do ostatka już zmęczony,
 Nie wiedząc, co począć z sobą
 W jesieni wieczorną dobą,

Skoro małeńka nastąpiła cisza,
Szedł na skargę do Jowisza.
I z tą muzyką tak dobrze nam znaną,
Raz andante i znów piano.
Kiedy nikt mu nie przerywa,
Tak się odzywa:
Władco Bogów i ludzi i całego świata,
Co tylko chodzi, co pływa, co lata,
Ty, co, choćbyś chciał, nie błądzisz,
Ty, co dumne, srogie cary
I nas, nieszczęsne komary
Zarówno sądzisz,
Wysłuchaj skarg mych żałośnych
I krzywd nieznośnych.
Oto wiatr wśród swych zapędów
Niema dla mnie żadnych względów.
Kiedy mię porwie, tak mną srodze miota
Czy to pogoda, czy słońce,
Iż ci z szczerością wyznaję,
Że ducha we mnie nie staje.
Niechaj gniew jego zawzięty
Zatapia sobie okręty,
Niechaj wieżę wywraca, zwłaszcza kiedy stara,
Lecz niech szanuje komara.
Tu Jowisz zmarszczył swe czoło,
Tak, że świat zatrzęsł się w koło
I rzekł: Przyjętych ustaw nie naruszę,
Obu stron wysłuchać muszę,
I wraz zawołał: Hejże jest tam który?
Natychmiast zwinny przybiega Merkury,
Za nim Ganymed, kilku dworskich panów,
Dwóch adjutantów i trzech szambelanów.
Spiesz, rzeczce Merkuremu, do śnieżnego Tatru,
Zawołaj wiatru.
Tu komar dotąd tak śmiały
Zaczął ze strachu drzeć cały.
Ach, Panie, woła, bez twojej urazy
Racz cofnąć swoje rozkazy
Kiedy wiatr przyjedzie na twe zawołanie,
Cóż się ze mną biednym stanie?
Gotów mię porwać, męczyć do ostatka,
Lepiej więc skończyć tę sprawę bez świadka,
Bo w każdym sądzie, choćby i przysiężnym,
Nie wygra słaby z potężnym.

9 marca 1835.

Na śmierć z Działyńskich Klaudyny Potockiej.

Kiedy cnotliwa Klaudyna
 Stała przed sąd i Ojca i Syna,
 Tak Bóg głosi swe wyroki:
 Przykładne były wszystkie twoje kroki,
 Lecz, że twa hojność nieprawa
 Wszetecznego Bolesława ¹⁾
 Wspierała przez datki obfite
 Na potwarz ludzi użyte,
 Więc za grzechów tych pokutę
 Będiesz w czyścju przez minutę,
 A potem wolną zakąły
 Bóg Cię przyjmie do swej chwały.

Dąb i sosna. Bajka.

Dawne nam dzieje nieraz okazały,
 Że są w ludziach różne szalały,
 Bo w jakież tropy myśl szalona człeka
 Nieraz się ślepo zacieka?!
 Czytam, że jeden lubownik natury,
 Co zgłębiał morza, mierzył strome góry,
 Wśród dziwaczego marzenia
 Uroił sobie robić doświadczenia,
 Jakie nikomu nie przyszły do głowy.
 Lecz on, na wszystko gotowy,
 Chciał przemieniać (ach! co za myśli niepojęta)
 Przeciwnie sobie naturą zwierzęta,
 Naprzykład z ryby zrobić leśne zwierze,
 Z drobnych myszy nietoperze.
 Nie dość na tem w królestwie roślinnem
 Równie był dzikim i czynnym.
 Przedsięwziął sobie (czyn dotąd jest głośny!)
 Przerobić dęby na sosny.
 Wszelkich więc środków próbował,
 Gwałtem dąb w sosnę szczepił, gwałtem go oczkował,
 A że pod zmarzłym sam mieszkał biegunem
 I pod Borealnem łunem,
 Gdzie wieczna panuje zima,
 Chcący dąb przyzwycaić do swojego klima,

¹⁾ Jozafat Bolesław Ostrowski, bezecny pisarz Nowej Polski, wprzód
 pisarz browarny u Gustawa Małachowskiego. P. a.

Z góry okładał go lodem,
Dziegiem i smołą polewał go spodem.
Lecz cóż? i dziegieć i smoła
Lane obficie nie pomogły zgoła,
Gdyż dąb, umiejąc wyższość swoją cenić,
Wolał uschnąć, niżeli w sosnę się zamienić.
Poznał nakoniec mędrzec, gdy się próżno silił,
Że się szkaradnie omylił,
Poznał, że każde na świecie stworzenie
Miało właściwy sobie kształt i przyrodzenie,
Że próżno z naturą bój toczyć,
Że ta gwałt każdy obali,
Że jak dąb trudno w sosnę przeistoczyć
Tak też Polaków w Moskali.

6 lipca 1837 w Versailles.

Wróbel w zimie.

Biedny wróbelku skurczony
Ciskasz się we wszystkie strony,
Chcąc wśród śnieżnej zawieruchy
Znaleźć jaki kątek suchy:
Daremna praca, już natura cała
Skrzępła, zmarzła, odrętwiała.
Trapi zimno, głód cię morzy,
Nigdzie dla Ciebie schronienia,
Lecz są na świecie stworzenia,
Co im nierównie jest gorzej.
Patrz, jakie klęski wśród Urała krańców
Ścigają polskich wygnańców.
Ty przez pienia twoje głośnie
Wkrótce będziesz witał wiosnę,
Lecz dla nich na szrankach świata
Niema ni wiosny ni lata.
Głód, wieczna zima, mgły i ciężkie mrozy,
Srogie knuty i powrozy,
A gdy ojczyzny wspomnienie
Tkliwe wzbudzi rozrzewnienie
I łza, co żal ten wyciśnie,
W zemdlonem oku zabłyśnie,
Łza ta w srogich okolicach
W lód się obraca na licach.

29 Xbris 1836.

Strofy, mające być śpiewane, gdzie Kościuszko po rewolucyi przemieszkował.

Nieszczęsnej Polski wygnane sieroty
Przychodzą w miejsce, kędy pełen sławy
Ten, co najeźdców ścierał tłumne roty,
Mieszkał mąż prawy.

Tutaj Kościuszko, wzór cnoty i męstwa,
Po ciężkich trudach szukał bezpieczeństwa,
Tu mu słodziło rany i więzienie
Czyste sumienie.

Już go los blaskiem nie łudził zwodniczym,
Stracił ojczyznę i świat był mu niczem,
Tu ręką, którą krwawe boje wznawiał,
Ziemie uprawiał.

Próżno car świetną jał przyszłość otwierać,
Nie dał się uwieść słowy zwodniczymi,
Nie było Polski, wołał więc umierać
Na wolnej ziemi.

Już on dziś mieszka w przybytku wybranych,
Kędy Chodkiewicz, Czarniecki, Jan Trzeci,
Niech się tam wstawia za braci wygnanych,
Za Piasta dzieci.

Niech błaga Stwórcę modlitwą gorącą,
By nam po burzach użyzył pogodę,
By stłumił próżność, zawisł jadem tchnącą,
A dał nam zgodę.

Niech zedrze maskę z zwodzicieliów twarzy,
Niech się na zawsze wyrzeka potwarzy,
Niech każdy, kiedy na kraj własny pomni,
Siebie zapomni.

Panie, niech matek nieszczęsnych rozpaczę,
Wziętych im dzieci i jęki i płacze,
Niechaj niewola milionów ludzi
Litość Twą wzbudzi.

Powróć nam istność, znaczenie, swobody,
Daj Polsce świetnić pomiędzy narody,
Wydartych granic powróć nam rozległość
I niepodległość.

Spraw Boże, by dzień bohatera chwały
 Prawniki nasze wiecznie powtarzały,
 By każdy Polak chcący być swobodnym
 Był mu podobnym.

23 lipca 1837 w Wersalu.

Treny po moim Hilasie¹⁾.

I.

Kiedyż przestanę płakać ciężkiej mojej zguby,
 Straciłem cię na zawsze, Hilasie mój luby!
 Wtenczas, gdy wiek zgrzybiały do ziemi mię słonił,
 Gdy od cierpkiej starości już świat cały stronił,
 Gdy w skrzepłym sercu, słodkie czucie się zatracza,
 Kiedy od siwych włosów piękność się odwraca,
 Ty zgrzybiałym wygnańcem jeden nie gardziłeś,
 Ty mię jeden kochałeś, nieodstępny byłeś.

II.

Ach, nie tak rodzaj ludzki; podła jego tłuszczca,
 Płasczy się w powodzeniu, w nieszczęściu opuszcza.
 Patrz, Napoleon, póki zwycięskim bułatem
 Gromił króle i ludy, pysznie rządził światem,
 Jaki go tłum pochlebców otaczał wokoło,
 Jak każdy aż do ziemi schylał przed nim czoło,
 Lecz gdy zepsuty szczęściem, w dumnym zaślepieniu
 Uległ słusznemu licznych ludów sprzysiężeniu,
 Byłże jeden mąż prawy w tym poczcie niezmiernym,
 By, gdy go los opuścił, pozostał mu wiernym.
 Odbiegli wodza, co ich wyniósł i ozdobił.
 Tegoby Hilas ani żaden pies nie zrobił!

III.

Ach! nie byłeś ty takim Hilasie mój drogi!
 Ty się nigdy nie piąłeś na wysokie progi,
 Nieraz mówiłeś głosem od nieba ci danym:
 Urodziłem się pieskiem, nie chcę być brytanem.
 Prawidła dawnych mędrców zachowując skrycie,
 Umiałeś przestać na tem, co wymaga życia.

¹⁾ Pies Niemcewicza.

Nie chciałeś tych nikczemnych ciurów naśladować,
 Co kiedy się nauczą w szkole słabizować,
 Już się sądzą mędrkami, już przez szal zuchwały
 Chcą w dzikich swych marzeniach urządzać świat cały.
 Mienia bezecni, podli i pełni obłudy,
 Że czerniąc prawą cnotę, obmyją swe brudy.

IV.

Jak cię nie płakać o ty, przyjacielu rzadki,
 Dostałem cię maleńkim od piersi twej matki,
 Byłeś mi miłym, droższym byłeś mi nad złoto,
 Straciwszy ciebie, jestem prawdziwym sierotą.
 Któż za mną nieodstępnie chodzić będzie wszędy,
 Któż mię bawić, któż znosić będzie moje błędy?
 Ty niebaczny na starość, na ciężkie me straty,
 Służyłeś mi jak gdybym był zdrów i bogaty.
 Niech się myśl filozofów kędy chce zacieka,
 Bóg psa w swojej dobroci stworzył dla człowieka.

V.

Starań mych wedle ciebie napróżnom nie stracił,
 Tyś mi je z jak najczulszą wdzięcznością wypłacił.
 Jak mą tęsknotę bawił każdy ruch twój snadny,
 Twa wesołość, pustota i gniew twój bezwładny. —
 Gdy wracał, jakąż radość w oczachem twych czytał,
 Wybiegałeś naprzeciw, uprzejmieś mię witał.
 Jakże słodkie uczucie... może omamienie
 Powiedzieć sobie, ach, jest na świecie stworzenie,
 Od którego najmniejsza nie czeka mię zdrada,
 Który mię kocha i mię nad innych przekłada.

VI.

Niestety, gdy cię niemasz, gdy ciebie niestawa,
 Już ci słów tych powiedzieć więcej nie mam prawa.
 Gdzie jesteś —, ten, coć w swoje już zamknął podwoje,
 Umieź cenić twą wartość i znać szczęście swoje?
 On cię niecny posiada, a jam cię wychował,
 Jam cię chorego leczył, zdrowego piastował,
 Dziś więc, jaka ci doła od losów wskazana,
 Ach, wspomnij sobie czasem na dawnego pana.

W Wersalu 22 września 1837.

Osioł i ja.

Już ja za nogą ledwie wlokę nogę
I siadać muszę, kędy tylko mogę.
Siadłszy więc dzisiaj przed małą stajenką,
Gdzie pono w domu było bardzo cienko,
Ujrzałem małego osła.
Szerść na nim brzydka porosła,
Spuszczone w ziemię i głowa i uszy,
Słowem, postać biednej duszy:
Aż smutno patrzeć nań było.
O biedne osłe, czemuś się rodziło?
Rzekłem do niego, czy by ciągnąć kary,
Dźwigać na grzbiecie ciężary,
A byle zwolnić się w krokach,
Brać ciężkie chłosty po bokach
I za prac tyle w nagrodę
Mieć trochę słomy i wodę.
Aż drzę, gdy wspomnę, co cię jeszcze czeka. —
Właśnie też jak ty, do takiego człeka
Czynić mi takie uwagi!
Prawda, że biorę i chłosty i plagi
Lecz ty, coś tyle dokazywać zdolen,
Powiedz mi szczerze, byłeś od nich wolen,
Czyliż cię inne jarzma i ciężary
Nie dotykały bez miary?
Wierz mi, osłów i ludzi jedne przeznaczenia:
Znosić pokornie niebios dopuszczenia,
Cieszyć przeciwność pracą,
Cierpieć i nie pytać za co.
Lecz czas położyć koniec tej gawędzie:
W przyszłości lepiej nam będzie.

7. marca 1838.

U spodu gór alpejskich.

Dziewicze wody w źródłach pić będę wezbranych,
Wraz na lazurze lodów stopę mą postawię,
Kąpać będę me członki w powiewach nieznanym,
Eter je wzmocni jak stal, gdy je w nurtach pławię.

Usnę na szczycie ciężką pracą dostąpionym,
Umyję ręce moje w śniegach wiekuistych,
Oddychać będę wiatrem coraz odnowionym,
Wolnym od ludzkich wyziewów nieczystych.

Na niebotyczne Alpy wzniosę moje kroki,
Kędy panują głuche, nieprzerwane cisze,
Podemną ciemną przepaść zakryją obłoki,
Świat zaryczy, ja jego głosu nie usłyszę.

Wstępujemy, wiatr umiera w skalistej przestrzeni,
Wątpliwość tak wysoko podnieść się nie może,
Wstępujemy uroczystą ciszą otoczeni —
Na tych olbrzymich szczytach usłyszę Cię, Boże.

Tak mówiłem do siebie i w nadziei śmiały
Za takim przewodnikiem poszedłem bez zwłoki,
Z wierzchołka wień swych Alpy drogę mi wskazały,
Potem zlany stanąłem na wierzchu opoki.

Wyżej nad świerki, wyżej nad trwałe modrzewie,
Śnieżne, wolne od plamy przebywałem stropy,
Kąpałem się swobodnie w eteru powiewie, —
Świat, do którego dążył, tykały me stopy.

Zasypiałem na kwiatkach bez uprawy wzrosłych, —
Przez ścieżki traw zielonych tu — ówdzie błądziłem,
Z tobą jedną, Naturo, w tych miejscach wyniosłych —
Żyjąc sam na sam, wonią pustyni się poilem.

Nie chciałem, by mię doszło ludzkie przemówienie,
By lepiej słyszeć szmer wód, wiatr, co miał się zrywać,
Tłumiłem bicie serca, zatrzymałem tchnienie,
By przyjąć ducha, co miał do mnie się odzywać.

Tam rwąc myrty, pojąc się w źródłach niecierpanych,
Gdzie mię w koło strome Alpy otoczyły,
Kosztując pod świerkami cieni pożądaných,
Gdym już wolen wśród pustyni, — lzy mi się puściły.

Napróżno słońcem błyszczący górzysta opoka,
Gdy wnijdę we wnętrz serca, zawsze ciemność w głębi. —
Znalazłem sfinksa, kędy szukałem proroka:
Nieskończoność mię niszczy i całego ziębi.

Przez pychęz tylko każesz nam tajnie twe śledzić,
Chceszże nas tylko mieć blaskiem twym wspaniałym,
Nie maszże nam. Naturo, nic więcej powiedzieć,
Jak te słowa: jam wielka a ty jesteś małym.

Wszak żebym lepiej poznał siły me zemdlone,
Przyszedłem z tak daleka, bym Ciebie zrozumiał
Ach! niepotrzebne były wyrocznie wślawione,
Bym postrzegł moją słabość i zapłakać umiał.

Czemuż milczysz i trzymasz oczy twe spuszczone,
Wspólny nam język jużże stał się dziś milczeniem?
Przychodzę znaleźć w tobie prawdy utajone,
Czemuż mi nie odpowiesz choć małym skinieniem.

Czyliż między naturę i mieszkanie ziemne
Moc niewidzialna ciemną spuściła oponę,
Czyż jak na oblubienic piękności tajemne
Bóg rzucił i na ciebie gęstą swą zasłonę.

O Boże, czyż rozmowy człeka z samotnością
Lękasz się, by twe imię nie zgasło powoli,
Czuwasz nad nim z bojaźnią i niespokojnością,
Już dawno twe kapłany wyrzekły: vae soli.

Jeśli jak świat i dusza są twojem stworzeniem,
Ach pocóż między nami te przepaści ciemne,
Niech człek z naturą czułem spoi się ściśnieniem
Jeżeli w gruncie jest dobro... krycia nadaremne.

Jakiś duch trwogi całe objął rozpostarcie,
Ciemne lasy, powietrza, wody przelatuje
A gdy dusza z pustynią spotka się otwarcie,
Wraz zimny dreszcz człowieka całego przejmuje.

Natura ze słodyczą wdziękiem ozdobioną
Obnaża pierś swą człeku, mile się uśmiecha,
A gdy ten chce swe dłonie rzucić na jej łono,
Powstaje dłoń silniejsza i w tył go odpycha.

Pragnieź człek sił napoić w czystym strugów biegu,
Kładzie weń salamandrę, gorzką sól ukrywa,
Gdy śpi, zawiesza nad nim ciężkie spady śniegu,
Burzy morze pod łódką, na której śpiewa.

Strach tajemny, — a przed nim drżą i wojownicy, —
Napełnia świat ten, człeku skryć go usiłuje,
Dusza nasza i świat ten sąż to niewolnicy,
Którym Bóg mówić z sobą pilnie zakazuje.

Naturo, gdzie mech szary, kędy ustroń cicha,
Na jednym z toba łożu pragnąłem spoczywać,
Lecz wzrok twój raz mię wabi i znowu odpycha,
Także swe tajemnice raczysz mi odkrywać?

Ciężko na sercu mojem samotność ma leży,
Woń kwiatów, ciemność lasów, wszystko mię już nudzi,
Czyliż i mnie tę prawdę wyznać już należy,
Że człek stworzon, by nie sam ale żył wśród ludzi.

Przecież wiecznej naturze nie łajmy zażarcie,
 Przed samotnikiem ona tai skarby swoje,
 Lecz się uśmiecha do nas, przemawia otwarcie,
 Gdy na zielonym smugu siądziemy we dwoje.

Tak jest, chowa swe skarby tak mnogie po świecie
 Dumnemu badaczowi, co je dumnie skryśla,
 Lecz je hojnie rozdaje kochankom, poecie,
 Tkliwemu człowiekowi, gdy sercem rozmyśla.

Wolen trwogi niechaj się duch mój zabezpieczy
 I tam gdzie nieskończoność wzbija polot śmiały,
 Niech usiłuje poznać cel, źródło wszechrzeczy,
 Niech domysłne nad górą widzi słońca strzały.

Wśród dzikiej puszczy szukaj wielkiej świata duszy,
 W bezdennych toniach morskich nie przestań jej śledzić,
 Śpiewaj, błogosław, aż się próśby twemi wzruszy:
 Na głos tylko miłości raczyć odpowiedzieć.

Naturo, Boska twarz twa wszędy się objawia
 Wśród ciemnot, dęcia wichrów, gdzie ziemi ostatki,
 Wśród strasznych rozbić, gdzie śmierć przed oczy się stawia,
 Przecież i w gniewnych oczach jest wzrok czulej matki.

Tak jest — człek jeśli oczy swe wzniesie do góry,
 W obrębie świata Boga prawego poznaje,
 Złe czynić nie jest dziełem przezornej natury,
 Mniej niszczy sroga burza, niż ziemia wydaje.

Gdzie trzeszczą skały dęciem srogiej nawałnicy,
 Obok piołunów rój pszczoł miodotwórczych brzęczy,
 Stokłosów złotych obok niewdzięcznej mietlicy,
 Wszędy nadzieja, jasność różnobarwnej tęczy.

Z powietrza, lasów, jaskiń, z strumieni wód żywych,
 Z miejsc, kędy słońce wstawa i kędy zapada
 Z wonnych krzewów, z gniazdeczek ptasząt świergotliwych
 Zewsząd głos się ten wznosi: „Miłość światem włada.“

Paryż 23 listop. 1839 w 82 roku życia mego.

Motyle. Bajka.

W pięknym wieczorze majowym,
 Na powietrzu lazurówem,
 Dwa się motyle ścigały.
 Widać, że obu miłości zapaly
 Wiodły do małżeństwa celu.

Jakoż po pieśczętach wielu,
Co były skłonnościom próbą,
Akt szlubny spełniły z sobą.
Lecz wkrótce słabe i drżące,
Siadłszy na róże pachniące;
Któż temu (u)wierzyć może;
Skonały lekkim sposobem.
I kwiat, co służył za małżeńskie łoże
Stał się obojga ich grobem.
O biedne, biedne stworzenia,
Zawołam, jakież wasze przeznaczenie.
Rano, wesoło sobie wylecicie,
A w wieczór życie kończycie...
Milcz, ktoś zawoła, sam nie wiesz, co gadasz,
Czyż nad motyla ty los twój przekładasz?
Krótki zapewne te małe stworzenia
Mają czas swego istnienia,
Ale ich losem — obok swej kochanej
Bujać w przestrzeni nieznaney
Krażyć w pośród wonnych kwiatów,
Sączyć nektar z ich szkarłatów.
Człek ciąg dłuższy dni swe liczy,
Lecz pełne smutku, goryczy.
Lepiej więc pędzić czas w pośród zalotów,
Lepszy dzień szczęścia, niż wiele kłopotów.

17 czerwca 1840 w Bilancourt.

(D. n.).

